

**Spodziewaj się
Dobra**

Spodziewaj się Dobra

Dariusz
Piórkowski SJ

Wydawnictwo WAM

Spis treści

Zamiast wstępu: Jak zostałem jezuitą	7
Jak się nie zgubić na duchowym targowisku	12
Nie bój się, zobacz więcej	21
Źródło pragnienia Boga	27
Jestem fanem poganina	33
Dlaczego cisza uzdrawia	36
Czas na modlitwę	42
Marta i Maria, czyli o modlitwie i codziennych obowiązках	48
Potrzeba pustyni	55
Gdyby nie ciało, toby się udało	63
W objęciach przyjemności	72
Czy Jezus się śmiał?	85
Co robić, by się cieszyć?	91
Gospodarz się ociąga	96
Czy wiem, po co żyję?	99

Heretycy mają się dobrze	102
Wątpliwości to nie herezja	105
Wiara czasem boli	110
Nie chcę, bo nie. O sposobach obecności Boga	113
Zgorszenie Bogiem	116
Czy Bóg potrzebuje naszego cierpienia?	126
Horror na jeziorze	132
Dlaczego Bóg się gniewa?	137
Boże, jesteś niesprawiedliwy	144
Gdy Kościół boli	153
Klerykalizm – grzech, do którego trzeba dwojga	164
(Anty)klerykalizm po polsku	171
Wypolerowany krzyż	180
Krzyż się niesie, a nie przestawia	185
Szkoła wdzięczności: Eucharystia	193
Zacznij od Zmartwychwstania	203
Spodziewaj się Dobra	209
Dobrze mieć przyjaciół wśród świętych	213
O celu życia i Franciszku Ksawerym	222
Dlaczego lubię świętego Ignacego Loyolę?	226
Ależ to niebo pełne...	231

Zamiast wstępu: Jak zostałem jezuitą

Bardzo często mnisi
są cisi i łysi
golą sobie czaszki
i kochają ptaszki.
Ja nic z tego
nie rozumiem
opisuję to
jak umiem.

To nie ja wymyśliłem sobie tę fraszkę o mnichach. To Andrzej Mleczek, który – jak się okazuje – nie tylko kreśli obrazki, ale lubi też pobawić się słowem. Jakiś czas temu, podczas buszowania w księgarni, natknąłem się na ten wierszyk w jednym z jego albumów. I zebrało mi się na wspominki. Była to doskonała okazja, bo akurat obchodziliśmy Dzień Życia Konsekrowanego, czyli święto zakonów, instytutów świeckich i stowarzyszeń życia apostołskiego. Dzięki tej fraszce przypomniało mi się, jak to sam przy mierzałem się do zostania jezuitą.

Ponad dwadzieścia lat temu, niedługo przed maturą, oznajmiłem domownikom, że wybieram się do zakonu, a ściślej mówiąc – do jezuitów. Oczywiście nie z kurtuazyjną wizytą, ale na dobre. Kiedy ogłosiłem tę – jak sądziłem radosną – wieść rodzicom i dziadkom, w kuchni zapadła cisza jak makiem zasiał, przerwana po chwili trzaskiem

szklanki, którą mama upuściła, myjąc naczynia. Zrozumiałem, że nie dla wszystkich była to radosna wieść, ale na pewno zaskoczenie. Dopiero po czasie pomyślałem, że moment na odsłonięcie moich życiowych planów, a właściwie zakomunikowanie decyzji bliskim, wybrałem chyba nie najtrafniej. Ale do dzisiaj nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego jak dogodna pora na takie obwieszczenia: wszak człowiek musi je kiedyś i jakoś z siebie wydusić.

Posypał się grad pytań, który pokornie przyjąłem na siebie: Dlaczego nie na księdza? Po co ci ten zakon? Dziecko, będziesz całe życie dziadował. Kim są ci jezuici? (Sam jeszcze do końca nie wiedziałem). A seminarium ci nie odpowiada? Byłbyś blisko domu, jakaś plebania, samochód. Stara Wieś? (siedziba jezuickiego nowicjatu) A gdzie to jest? Koło Rzeszowa? To prawie na Ukrainie!

Jakby tego było mało, akurat tego dnia Telewizja Polska zajrzała za mury klasztoru kamedułów na krakowskich Bielanych (był tzw. Dzień Otwartych Drzwi). Po „Tele-expressie”, który wspólnie obejrzelśmy, przeor bielańskich braciszków ze spokojem zaczął uchylać rąbka tajemnicy mniszego życia. Wszyscy, łącznie ze mną, słuchaliśmy tego jak wryci, a w oczach moich krewnych z wolna narastało przerażenie.

– Wstajemy o 3.45. Całe dni zachowujemy milczenie. Klasztoru bez nadzwyczajnych powodów nie opuszczamy. Schodzimy się często na wspólne modlitwy. Mieszkamy w osobnych domkach. Mięsa praktycznie nie jemy. Trudniemy się pracą w ogrodzie i w lesie – opowiadał przeor.

Na pytanie dziennikarza, czy to prawda, że mnisi nadal śpią w trumnach, noszą włosiennice i się biczują, przełożony kamedułów roześmiał się, choć przyznał, że wcześniej bywało to w zwyczaju. W tej chwili czara się przelała. Poczułem, że atmosfera z sekundy na sekundę gęstnieje, jakby wszyscy oczekiwali wybuchu tykającej bomby.

Mama zaczęła płakać, a dziadek ją mnie błagać i zaklinać: „Rany boskie, gdzie ty się, chłopcze, pakujesz? Zastanów się jeszcze, rozważ, nie ulegaj młodzieńczemu idealizmowi. My ci tu nie chcemy dyktować, co robić, masz swoje lata, ale słyszałeś właśnie, co ten przeor opowiada”.

Nie pomogły moje usilne zapewnienia (choć mówiłem to bardziej na podstawie wiedzy ogólnej niż z autopsji), że u jezuitów jest inaczej, że oni nie śpią w trumnach, nawet w ramach poobiedniej drzemki. Że nie wiodą mniszego życia. Cóż miałem robić, trzeba było gasić pożar. Zaznaczyłem, że jezuita grządki może i mają, ale z tego, co wyczytałem, wolą raczej dawać nura w biblioteki. Nie siedzą zamknięci w swych celach, bo wszędzie ich pełno. Dopiero co wróciłem z rekolekcji ignacjańskich i jezuita wydali mi się narodem całkiem przyzwoitym. Te wyznania trochę uspokoiły moich bliskich, choć widmo kamedulskiego przeora unosiło się nad naszym domem jeszcze przez dobrych kilka dni.

Zanim do tego wszystkiego doszło, postanowiłem najpierw wy badać teren: poszedłem zapytać jednego z jezuitów prowadzących rekolekcje ignacjańskie, co trzeba zrobić,

żeby mnie przyjęto. A ten ni z tego, ni z owego, zaczął mnie przekonywać, że są jeszcze inne zakony: dominikanie, franciszkanie, benedyktyni... Po co się pchać do jezuitów? Zbaraniałem. Myślę sobie: Co ten chłop wygaduje? Ja chcę do jezuitów, a on mnie odsyła do konkurencji? A może coś we mnie zwąchał i próbuje mnie odstręczyć? Więc ja dalej swoje: że podoba mi się historia św. Ignacego Loyoli, a duchowość ignacjańska też niczego sobie. Że czytałem św. Jana od Krzyża, ale jakoś mnie to nie wciągnęło, zbyt skomplikowane. Mówiłem, że kręciłem przez pewien czas z werbistami: marzyły mi się misje zagraniczne, Afryka i te sprawy – ale wystraszyłem się skwaru i moskitów. Myślałem nawet o zakonie kontemplacyjnym. Ten pomysł dość skutecznie wybił mi jednak z głowy katecheta, który stwierdził, że z moim temperamentem długo bym tam miejsca nie zagrzał.

Lektura „Autobiografii” Ignacego i doświadczenie ćwiczeń duchowych poruszyły we mnie jakieś inne struny. Coś mnie w tym człowieku urzekło. Uczył, jak doświadczyć Boga i jak podejmować dobre decyzje; świat postrzegał jako boskie dzieło; cenił to, co ludzkie; był roztropny i przebojowy; nie bał się wyzwań; łatwo się nie poddawał. Najbardziej chyba niepokoiło mnie jego stwierdzenie, że byłby gotów wierzyć w Boga na podstawie własnych doświadczeń, nawet gdyby nie napisano Pisma Świętego. To ci dopiero wyrazisty i stanowczy facet!

Na koniec naszej rozmowy jezuita wręczył mi stosik książek o Ignacym i Towarzystwie Jezusowym. Zapalił się

płomyk nadziei. Zrozumiałem, że te „podchody” to była swoista gra, pierwsza próba.

Część z książek połknąłem jeszcze przed wstąpieniem. Ale tymczasem musiałem rozprawić się z kilkoma stereotypami na temat jezuitów, wyniesionymi ze szkolnej ławy i kościelnych środowisk: jezuita i inkwizycja. Jezuita i makiawelizm i wyrachowanie. Jezuita i kazuistyka, czyli dzielenie włosa na czworo. Jezuita i chłód uczuciowy i racjonalizm („Nie mają serca, tylko rozum”). Jezuita i intelektualizm: światu nie widzą, bo wlepiają oczy w książki. Jezuita – watykański szpieg. A poza tym prześmiewcze „Prowincjałki” Pascala, drwiny Dostojewskiego w „Braciach Karamazow”, jezuita Naphta z „Czarodziejskiej góry”. Nazbierało się tego trochę.

Dzisiaj wiem, że jezuita ma w sobie trochę z mnicha, a trochę ze świeckiego. To taki zakonnik w świecie: bez wygolonej czaszki, habitu i wysokich klasztornych murów. Choć ptaszki chyba lubi. Cała jego troska polega na tym, jak połączyć modlitwę i kontemplację z byciem dla ludzi i siedzeniem niemalże po uszy w tym świecie. Niełatwe to zadanie, ale ciekawe, podobne do pielgrzymiej drogi, jak mawiał św. Ignacy. Nie żałuję, że z własnej woli się w to wpakowałem.

Jak się nie zgubić na duchowym targowisku

Bóg Biblii ma wiele wspólnego ze światem. Według niej Stwórca nie tylko podtrzymuje wszystko w istnieniu – począwszy od kwantów i gronkowców, na galaktykach i słońcu skończywszy – ale przejmuje się losem tego, co powołał do życia. Do tego stopnia, że chaos zaprowadzony na ziemi przez człowieka skłania Go do nadzwyczajnego działania i posłania na świat swojego Syna.

Jednakże taki Bóg, jak na ironię, jest dla ludzkości gorzką pigułką do przełknięcia. Już autor Psalmów, zważywszy na kruchą kondycję człowieka, nie ukrywa zdziwienia wobec zaangażowania Jahwe: „O Panie, czym jest człowiek, że masz nad nim pieczę, czym syn człowieczy, że Ty o nim myślisz? Człowiek jest podobny do tchnienia wiatru, dni jego jak cień mijają” (Ps 144,3-4).

Wielu greckich filozofów uznałoby koncepcję Opatrzności za coś absurdalnego. Jeśli Bóg w ogóle istnieje, zainteresowany jest przede wszystkim sobą, a nie stworzeniem. Wpatruje się w swój boski umysł, trwając w niezmałym szczęściu. Dlatego nie ingeruje w sprawy tego świata, gdyż mieszanie się w ludzkie problemy oznaczałoby odwrócenie uwagi od siebie i działanie, co w przypadku Absolutu byłoby oznaką słabości. Jakiegokolwiek akty, poza wieczną

kontemplacją, sprowadziłyby takiego boga do istoty podrzędnej kategorii. Toteż świat w gruncie rzeczy istnieje od zawsze.

Późniejszą wariacją tego przekonania jest osiemnastowieczny deizm, który wciąż oddziałuje na nasze współczesne myślenie. Kierunek ten nie odrzuca istnienia Najwyższej Istoty. Owszem, uznaje, że Absolut trwa w niedostępnych przestworzach, a nawet – według wszelkich znaków – stworzył świat widzialny, ale po zakończeniu prac oddał go w ręce ludzi i powiedział „Żegnam”. Zredukowanie koncepcji Boga do Wielkiego Architekta wpływa w gruncie rzeczy z przekonania, że „prawdziwa” boskość nie może się za bardzo z nami spoufalać. Jej bliskość przyprawiłaby nas o drżenie. Takie zniżenie, zgodnie ze szlachetnym filozoficznym mniemaniem, nie przystoi nieskończonej Istocie. Nie róbmy sobie żartów, powiedzieliby deiści, cudów nie ma, a ewentualna zażyłość ludzi z Bogiem graniczy z cudem.

Rozumowe wykoncypowanie Wielkiego Budowniczego świata, zwłaszcza w formie oświeceniowej, przy wręcz alergicznym trzymaniu się z dala od Biblii czy innych świętych ksiąg, było również próbą zminimalizowania wpływu religii instytucjonalnych, na czele z chrześcijaństwem. Konsekwentnie: jeśli Bóg, koronując dzieło stworzenia, wycofał się z ludzkiej rzeczywistości, trzeba sobie jakoś radzić. Serce nie sługa, nie tylko w kwestii zakochania. Pragnienie Boga bliskiego drzemie w nas nieustannie, dlatego „tworzymy” sobie Jego obraz na własną modłę.

Jednym z przykładów tej twórczości jest dzisiejsze rozumienie „duchowości”.

Odwołując się do dużych miast, lubię wstąpić do księgarni. Można się tam w miarę szybko zorientować, co rozchodzi się jak świeże bułeczki, rzucając okiem na tytuły bestsellerów. Ich popularność odzwierciedla zainteresowania czytelników. Podczas jednej z wizyt w ogromnej księgarni w Bostonie zatrzymałem się w dziale „Religia i duchowość”. Czegoż tam nie było! Trochę chrześcijaństwa, odrobina islamu, szczypta astrologii, poradniki zen, vademecum jogi, instrukcje tarota, najwymyślniejsze metody samowyzwolenia z przeróżnych kłopotów.

Moją uwagę szczególnie przykuła pozycja zatytułowana „Myśl pozytywnie”. Z ciekawości zajrzałem do wstępu. W końcu – cóż złego w pozytywnym myśleniu... Czego się dowiedziałem? Że żyłem dotąd w błogiej nieświadomości. Nawet nie przeczuwałem, że skazany byłem na sukces. Wystarczyło bowiem chcieć więcej pieniędzy, przyjaźni, nowego mieszkania, pracy, i wierzyć, że moje życzenia się spełnią, a wszechświat sam by się o mnie zatroszczył. Zdaniem autorki, jeśli teraz otworzę się na energię uniwersum, w ciągu trzech miesięcy moje marzenia zostaną spełnione. Magiczna moc kosmosu wyjdzie naprzeciw moim potrzebom.

Inny obrazek. Kiedy Dalajlama przybył pewnego razu z wizytą do Niemiec, zaskoczyła mnie ogromna liczba jego entuzjastów. Nie piszę o tym, aby odbierać mu należny szacunek czy krytykować buddyzm. Chodzi mi raczej o przyczyny popularności tej religii w Europie Zachodniej

i w USA, a w jakimś stopniu również w Polsce. Nie pomniejszając autentyczności zaangażowania wielu wyznawców religii niechrześcijańskich, zauważyłem, że propozycja wschodnich religii, potraktowana wybiórczo, doskonale wstrzeliwuje się w gusta zachodnich konsumentów.

Z szerokiej palety dostępnych „duchowych” możliwości wybiera się to, co służy osiągnięciu wewnętrznego pokoju i odprężenia. Relaksacyjno-medytacyjne techniki Wschodu są w tym bardzo pomocne, ale czy o to w nich chodzi? Na półkach księgarskich można znaleźć tak hybrydalne tytuły jak chociażby ten: „Taoistyczne metody uzdrowienia ze szczyptą hinduizmu, buddyzmu, szamanizmu i humanizmu”. Zwłaszcza ostatni ze składników recepty na ludzkie szczęście jest intrygujący... Ta mieszanka, jak podaje wprowadzenie do tej książki, ma być „doskonałym antidotum na depresję, lęk, poczucie straty, samotność, smutek i urazy”.

Wielu ludzi powtarza dzisiaj (sam takich spotkałem), że przestali być religijni, gdyż odkryli w sobie duchowy pierwiastek. Ich zdaniem religia i duchowość nie pokrywają się ze sobą. Religie, zwłaszcza objawiające Boga osobowego, są drakońskie, ponieważ obarczają skomplikowanymi rytuałami i procedurami. Na co to komu? Nadto ich wyznawcy bez przerwy kłócą się, która jest lepsza, i wszczynają konflikty.

Te urojone problemy rozwiązuje nowoczesne rozumienie duchowości. Tzw. pluralistyczna i inkluzywna koncepcja duchowości zakłada, że tak naprawdę istnieje tylko jedno boskie źródło wszystkich religii, do którego każdy ma

nieskrępowany dostęp jak do promieni słońca. W każdym człowieku istnieje „duchowy” pierwiastek przyciągający boskość. Nie potrzeba więc żadnych nadzwyczajnych środków, pośredników, przynależności do instytucji, znaków materialnych. Wobec tego jest wykluczone, by istniała religia, która cieszyłaby się szczególnym uprzywilejowaniem i wyłącznością. Dlatego nie warto kruszyć kopii o to, gdzie boska moc jest bardziej obecna. Bóg rozlewa się równomiernie w całym wszechświecie. Religia już przebrzmiała.

Co więcej, tylko duchowość oparta na ćwiczeniu świadomości może przebudzić w nas „duchowy” rdzeń, gdyż obejmuje ona znacznie więcej niż rytury i zinstytucjonalizowane formy poszukiwania transcendencji. „Duchowość” staje się czymś prywatnym, opartym na osobistym eksperymencie i testowaniu niekonwencjonalnych środków, podczas gdy religia kojarzy się bardziej ze sferą publiczną, angażującą w tradycyjne formy oddawania czci Bogu, i z „nawracaniem”. Zwolennicy tego myślenia twierdzą, że „duchowość” tak naprawdę niczego od nas nie wymaga, w przeciwieństwie do judaizmu, islamu czy chrześcijaństwa, w których Bóg ciągle czegoś od nas chce. Męczą i tak już utrapionego człowieka zamiast przynosić mu ulgę i wytchnienie.

Niektórzy zachwycają się faktem, że pomimo zaniku w Europie instytucjonalnych religii, „duchowość” doznaje rozkwitu. Ten boom można zauważyć zwłaszcza w bogatych społeczeństwach. Podstawowe potrzeby są zaspokojone. Standard życia wysoki. Trzeba jeszcze coś zrobić

z duchem. Jeśli – praktycznie rzecz biorąc – wszystko można kupić, dlaczego spod tej reguły miałyby być wyjęte przeżycia duchowe? Myślenie konsumpcjonistyczne wszystko sprowadza do produktu. Jeśli w supermarkecie mamy tak wielki asortyment, to dlaczego w sferze potrzeb duchowych mielibyśmy ograniczać się do jednej opcji, na dodatek nie zawsze zadowalającej? Czy nie lepiej podejść do sprawy jak do szwedzkiego stołu, przy którym można wybrać, co się komu podoba?

Sęk w tym, że „duchowość” przeciwstawiona religii oferuje tylko chwilowe i kosmetyczne zmiany. Zredukuj stres, pozbadź się depresji, odkryj swój potencjał, unikaj trapiących cię myśli. Coraz więcej ludzi przyswaja „duchową” dietę, która unika dotykania źródeł ludzkich niedomagań. Po co narażać się na nieprzyjemny ból? Celem „duchowości” jest raczej jego uśmierzenie, a z drugiej strony – ucieczka w świat iluzji. Wygląda to jak gaszenie pożaru bez zlokalizowania źródła ognia lub odchudzanie się za pomocą chemicznych preparatów. Tylko w reklamie zrzuca się dziesięć kilogramów w ciągu miesiąca. Czasem być może jest to nawet możliwe, przy czym nikt nie wspomni o fatalnych skutkach konsumpcyjnej magii, które nieraz trzeba znosić przez długie lata.

Żadne substancje i cudowne przepisy nie zastąpią uprawiania sportu i redukcji jedzenia. Podobnie z „duchowością”, która paradoksalnie nie sięga do rzeczywistej genezy problemów, lecz ślizga się po powierzchni, proponując połowiczne rozwiązania i krótkotrwałą ulgę. Religie

monoteistyczne zachęcają do przemiany stylu życia i wskazują na źródła kłopotów wywołujących zmęczenie, samotność, smutek i inne nieprzyjemne uczucia. Co więcej, Bóg osobowy wyciąga rękę do człowieka. I to On dokonuje wewnętrznego uzdrowienia.

Odwołując się do Ewangelii, można powiedzieć, że odstępując od religijnego wymiaru życia w stronę mglistej „duchowości”, człowiek sam siebie czyni Mesjaszem i uzdrowicielem. Zawsze to lepsze niż bycie jedynie pokornym sługą Zbawiciela. Fałszywy „mesjasz” naiwnie sądzi, że źródło życia bije w nim lub w kosmosie. Trzeba tylko użyć odpowiednich narzędzi.

Historia kołem się toczy. Zadziwiające jest to, z jaką łatwością tworzymy sobie rozmaite substytuty religii, byleby tylko pozostać samodzielnymi i niezależnymi. Bóg chrześcijan rzeczywiście nie pozostawia nas w spokoju. W postaci człowieka zstępuje w sam środek naszego zagubienia. Równocześnie nie pozwala się „kupić” i zastosować jako remedium na wszelkie bolączki. Bóg z nas nie zrezygnował. Dał słowo, że nam pomoże, i je wypełnił. Przynajmniej podarował nam szansę. Jak widać, ciągle wikłamy się w alternatywne sposoby uporządkowania świata i człowieka. Ale czy coś z tego wyjdzie?

Trzeba zapytać, czy aby ów odwrót od tradycyjnych religii, zwłaszcza chrześcijaństwa, nie jest po części spowodowany wypaczeniami w głoszeniu Ewangelii. Czy wszystko należy zrzucić na karb niewiary i ludzkiego błędzenia? Myślę, że Kościoły chrześcijańskie miałyby sobie wiele do

zarzucenia w tym względzie. Jak to się bowiem dzieje, że wielu ludziom wybierającym „duchowość” Chrystus nie kojarzy się z osobą, która zdejmuje z człowieka rozmaite jarzma i wyzwala, lecz z despotą, który pragnie utrapić rodzaj ludzki?

Czy Ewangelia przestała być atrakcyjna? Czy misja chrześcijaństwa się zdezaktualizowała? Nie sądzę. Wielu filozofów nowożytnych wypracowało taką, a nie inną wizję Boga, ponieważ doświadczyli niezbyt przykładowego życia chrześcijan lub nadużyć ze strony Kościoła. Nie każdy potrafi oddzielić czyste ziarno Ewangelii od plew, które się z nim mieszają. Na ogół utożsamia się świadectwo życia wierzącego z tym, co głosi wyznawana przez niego religia. Opór wobec instytucjonalnych form religii może mieć różne korzenie, nie wykluczając grzechu. To oczywiste. Ale z pewnością forma podania Ewangelii odgrywa tutaj niebagatelną rolę.

Sądzę, że odrodzenie się „duchowości” zaprasza do przeprowadzenia poważnego rachunku sumienia co do jakości głoszenia i życia Ewangelią przez chrześcijan, duchownych i świeckich, we współczesnym świecie. Podam tylko jeden przykład. U nas w Polsce często zamiast Dobrej Nowiny słyszy się na ambonach pohukiwania, połajanki, narzekanie, lament nad zalewającym nas zewsząd złem czy potępienie tych, którzy przyszli do kościoła. Niedawno w jednej ze szczecińskich świątyń byłem świadkiem, jak to czcigodny kapłan podczas kazania wykladał własne poglądy na temat moralności (twarda to była nauka) których

jednakowoż trudno doszukać się w aktualnym Katechizmie Kościoła. Najwyraźniej nie przeczytał go uważnie.

Jeśli Dobra Nowina nie podnosi na duchu, jeśli wierny nie wychodzi z Mszy świętej podbudowany, lecz opuszcza kościół ze zwieszoną głową, to coś tutaj nie gra. Oczywiście, Ewangelia to nie tylko poklepywanie po ramieniu. Jednakże Chrystus gromił jedynie tych, którzy publicznie sprzeciwiali się Jego nauczaniu i gorszyli maluczkich. Starannie dobierał słowa w zależności od słuchającej go grupy, a w kontakcie indywidualnym był bardzo wyrozumiały i taktowny.

Nie pozostaje nic innego, jak ciągle wracać do źródeł, by odkryć, że Bóg chrześcijan nikomu nie zagraża ani nie chce na siłę wtrącać się w nasze sprawy.

© Wydawnictwo WAM, 2017

Opieka redakcyjna: Olaf Pietek, Bartłomiej Sury
Redakcja: Maciej Müller
Korekta: Mateusz Czarnecki, Klaudia Adamus
Projekt okładki: Agata Hanuszkiewicz
Skład: Katarzyna Mróz-Jaskuła

NIHIL OBSTAT

Prowincja Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Jakub Kołacz SJ, prowincjał
Kraków, dn. 6 marca 2017 r., l.dz. 50/2017

ISBN 978-83-277-1384-1

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl
www.wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260
e.wydawnictwowam.pl

druk: READ ME • Łódź

